

odgłosy

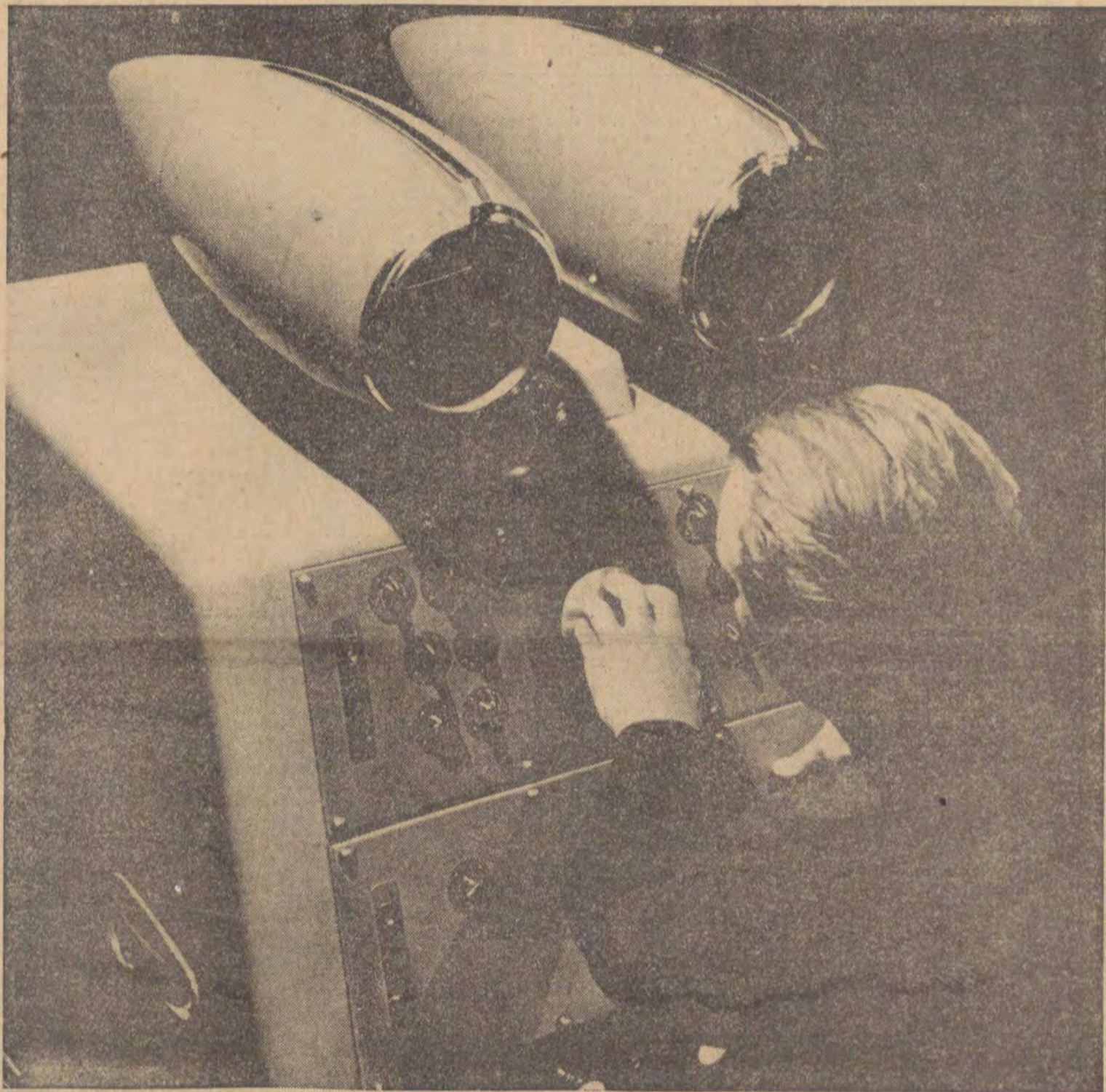


Nr 43 (347)
25. X. 1964 R.
10 stron
CENA 1 ZŁ

TYGODNIK

ROK VII

STEFAN KOZICKI



Brydż i kawa w KOMITECIE

Odwiedzającemu Sieradz od razu rzucają się w oczy — i to jednocześnie — kino oraz gmach Powiatowego Komitetu Partii.

Mi Sieradz, oczywiście, wiele innych charakterystycznych elementów pejzażu: świetną przeszłość historyczną; świetnych obywateli honorowych np. prof. Szternfelda; nową fabrykę, którą można oglądać w dodatkach Kroniki Filmowej; salę teatralną (z zapleczem!); sąd (z zapleczem prokuratury) do którego wpływa rokrocznie ok. 1000 chłopskich spraw „o miedzę”; Seminarium Nauczycielskie (bez zaplecza) — długo można by tak wymieniać, ale kino i Powiatowy Komitet przede wszystkim rzucają się w oczy. I nie może być inaczej, jako że oba te obiekty pomieszczone w samym środku miasta i przedzielone tylko szerokością ulicy eksponowane są najbardziej na użytek zwykłego przechodnia. Oba są też nowe i nowoczesne.

Sporo jeździć po Polsce, ale taki budynek Komitetu widzę po raz pierwszy: właściwe proporcje sprawiają wrażenie lekkości; duże okna; kolory; wszystko bez sileńcia się na pomnikowość, gigantyzm, symbolizm.

Architektura wnętrza, to jakby dalszy ciąg zewnętrznych efektów. Podłogi z ko-

Dalszy ciąg na str. 3

JULIAN BRYDZ

Czy oni musieli przez to przejść?

Fragment opinii szkolnej, charakteryzującej kandydata na studia: „Przygotowanie ogólne dostateczne, zachowanie bardzo dobre. Pojmowanie wiadomości i zapamiętywanie dość trudne, pamięć mechaniczna. Może studiować”.

Otóż — jak się okazało — nie może studiować, bo nie zdał egzaminu wstępnego. Nie on jeden zresztą, na samym Wydziale Mechanicznym Politechniki Łódzkiej

podobnych jemu w tym roku było około dwustu.

Zadaliśmy sobie trud przestudiowania tych dwustu tezcetek, zaopatrzonych z wierzchu smutnym dopiskiem: „Świadectwo dojrzałości w oryginale, odpis skrócony aktu urodzenia i 3 fotografie odebrałem — Iksiński, Łódź, dnia...”. Można by powiedzieć: dnia... zawieszonych nadziei, ale to zupełnie nie ścisłe, bo nadzieje rozwiązywały się już znacznie wcześniej w momencie, kiedy kandydat zasiadł w odświętym stroju do egzaminu pisemnego, otworzył kopertę z zadaniami i stwierdził, że jego tu przybycie było nieporozumieniem.

Tych dwustu odrzuconych przez wyższą uczelnię, to materiał zdumiewająco jednorodny. W opiniach ze szkoły powtarzają się stwierdzenia: „Przygotowanie ogólne dostateczne, uzdolnień i zainteresowań żadnych nie przejawia”. Potem jeszcze wyróżniki indywidualne: spokojny, niezdiscyplinowany, pracowity, leniwy, itp. Z rzadka tylko wśród „odsiąknięch” pojawia się ktoś z lepszymi od przeciętnych stopniami, ktoś, komu wyraźnie nie pośczęściło się podczas egzaminu.

Wśród dwustu opinii spotkaliśmy zaledwie 11 takich,

gdzie wyraźnie stwierdzono: kandydat do studiów wyższych nie nadaje się. W tej liczbie 4 pochodziły z Technikum Mechanicznego im. Duracza w Łodzi, spod ręki jednego nauczyciela, który widać umie patrzeć prawdzie w oczy i nazywać rzeczy po imieniu. Przykładu krańcowo odmiennego dostarcza Technikum Galanterijne. Opinie wypisywała tam, jeśli sędzić można z treści i grzeczniutkiego charakteru pisma, zapewne młoda polonistka, która nawet najgorzemu ze swoich wychowanków nie chciała zrobić przykrości. Biedząc się długo, każdą z opinii przyozdabiała ona mnóstwem pięknie sformułowanych ogólników, które miały zatrzeć niezbyt pochlebny sąd o kandydacie.

Czasem opinia ma za zadanie wyraźnie protegować kandydata. Na przykład taka: „Przygotowanie ogólne dobre, uzdolnienia wyżej średnie, zainteresowania szerokie, gdyż zarówno zagadnieniami technicznymi, jak też społecznymi i literackimi. Inteligentny i dociekliwy, ma swoje zdanie w wielu sprawach, ale dochodzi do niego przez studiowanie i pogłębianie zagadnienia. Jednostka interesująca, o szerszych horyzontach”. Czy gdyby ten panegiryk był

prawdziwy choć w pięćdziesięciu procentach, kandydat mógłby rzeczywiście nie zdać egzaminu?

Gwoli ścisłości musimy wyjaśnić, że podobne wypadki „kumoterstwa” są raczej rzadkie. Wodolejstwo i brak precyzji w opiniach ma chyba dwa zasadnicze powody:

⊕ Nauczyciele nie znają wymagań wyższej uczelni (czego potwierdzeniem może być np. często powtarzające się „majsterkowanie” jako atut przy kierowaniu na wydział mechaniczny).

⊕ Nauczyciele uprawiają „strusią politykę” nie chcąc brać odpowiedzialności za przyszłość ucznia.

Na usprawiedliwienie nauczycieli, a ściślej — szkolnych komisji rekrutacyjnych, trzeba dodać, iż kwestionariusz opinii nie zawiera pytań: czy uczeń kwalifikuje się do studiów wyższych? Należy tylko wyjaśnić, czy — zdaniem komisji — wybór przyszłego kierunku studiów dokonany został właściwie i dlaczego. Ale nawet przy tak tolerancyjnym pytaniu zdarzają się „unikł” w rodzaju: „komisja uważa, że kandydat dokonał wyboru zgodnie z zainteresowaniami”. Słusznie,

najlepiej w ogóle się nie angażować.

Stwierdzić można bez popadania w przesadę, że opinie o kandydatach, wystawiane przez szkoły, nie są obecnie żadnym właściwym instrumentem oceny i nie odgrywają większej roli. Egzaminatorzy w uczelniach sięgają do nich tylko sporadycznie, np. gdy trzeba rozstrzygnąć, którego z kandydatów, przy identycznych wynikach egzaminu, przyjąć na studia. Opinie te — zbiurokratyzowane, redagowane według wyświechtanych szablonów — nie mogą przekazać egzaminatorom żadnej prawdy o człowieku, nie z tej bogatej wiedzy, którą posiadał nauczyciel, obserwujący ucznia przez 4 czy 5 lat.

Bo też dotychczas nie określono u nas wyraźnie roli szkoły średniej w procesie naboru kandydatów na wyższe uczelnie. A na niej właśnie — naszym zdaniem — powinna spoczywać istotna część zadań, szczególnie teraz, gdy do uczelni docierają liczne roczniki wyżu demograficznego i konieczna jest jakaś wstępna selekcja. Dając szkołom pewne u-

prawnienia w tym zakresie, na pewno nie stracimy, a zyskamy. Wyobraźmy sobie, że szkolna komisja rekrutacyjna jest zobowiązana do podjęcia decyzji, czy maturzysta kwalifikuje się do studiów wyższych. Co się dzieje w takiej sytuacji?

Po pierwsze — uczniowie czują, że to nie przelewki, że nie wystarczy „podkuć” na miesiąc przed egzaminem wstępnym, lecz dobrymi wynikami trzeba się wykazywać znacznie wcześniej, przy najmniej od dziesiątej klasy wzwyż. Czy może to wpłynąć na podwyższenie poziomu nauki w szkole średniej? Chyba tak.

Po drugie — nauczyciele muszą się poważnie zastanowić, zanim podejmą właściwą decyzję. Rzecz jasna, muszą również poinformować ucznia, jeśli ich decyzja będzie negatywna. Ulegnie przez to likwidacji paralogiczny anachronizm — jakim jest tajemność opinii szkolnej. Wielu młodych ludzi uniknie w ten sposób załamania i rozczarowań, związanych z niepowodzeniem na egzaminie wstępnym. Zamiast wypisywać sakramentalne:

Dalszy ciąg na str. 3

Brydz i kawa w Komitecie



Dalszy ciąg ze str. 1

torowego plastiku, lekkie biurka, zastępy z wesółych filmdruków, sala konferencyjna przypominająca raczej klubo-kawiarnię niż tradycyjne pomieszczenia z ciężkimi stolami krytymi zielonym „bilardowym” sukniem. W gabinecie I sekretarza czują się — ledwie się z wierzchnich okryć wyłubadał — gorąca i mocna czarna kawa. Ponieważ „Delikatesów” w Sieradzu nie ma, kawę kręci w czeskim, plastikowym młynku, inż. rolnik, sekretarz rolny KP z tak radosną miną, jak gdyby spełniał Czyn Pierwszomajowy. A to tymczasem zwykły czyn przedsekretariatowy, wiadomo; zebranie Sekretariatu KP bez kawy obcy się nie może. I sekretarz, szczupły trzydziestoletni blondyn w modnym bluzo-sweaterze urzęduje przy telefonie. Zdaje się wyznawać zasadę, że sprawe posługiwania się XIX-wiecznym wynalazkiem, niesłychanie ułatwia życie, po cóż tłumy interesantów skoro połowę spraw przez telefon załatwić można?

I sekretarz KP, Włodzimierz Woskowski został na Sieradz — jak to się mówi — postawiony po zakończeniu studiów w stołecznej WSNS na wydziale ekonomii. W lewej szufladzie sekretarzowego biurka spoczywają dwa rozdziały pracy magisterskiej na temat: Zasady kształtowania się nowych cen w przemyśle dziewiarskim. Sekretarz ciągle wraca myślą do dwu rozdziałów swojej niedokończonej pracy. Zdarza się, że ma akurat umoralniającą gadkę z kimś, kto „wziął się” i upił i nieprzystojnie rzeczy w PKS wygadywał, więc się tłumaczy, że to wszystko przez zwykłą cenę, a tu naraz sekretarza nachodzi myśl: kiedy ja to magisterium zrobię i już ręka sięga do tych dwu rozdziałów w szufladzie, opeczowany nie rozumie nagłej przerwy w opeceze, „żeby mi to było ostatni raz!” mówi sekretarz, a widząc, że urzędnik do dalszej samokrytyki się zabiera, woła: „Już was nie ma! No!” i zostając sam kombinuje że kiedy mu z KW przysła instruktora do pomocy, to będzie mógł, przez jakieś 3 miesiące poświęcić się bibliografii tematu. To nie była jaka satysfakcja: magisterium „Zreszta już dziś żaden dyrektor fabryki mnie nie zagnie, ot, w poniedziałek, przedstawiał mi taki jeden bilans, wszystko na pozór grało, patrzę, patrzę, no i wreszcie — jest. A z akumulacją to wy się już w ogóle, tow. dyrektorze, nie liczycie? Dawnie sekretarz bał się, żeby go dyrektor nie zagnął i dlatego jak tylko do czego przyszło gadkę o ideologii zaczynał, niby: z akumulacją u was może i dobrze, ale roboty wychowawczej nie doceniać, czy coś w tym guście. Teraz w KP mamy ściśle podziały, według kompetencji, ideologią zajmuje się sekretarz propagandy, tow. Cieślak — wychowawca czyli nauczyciel z zawodu!”

Kult dyplomu. Kult kompetencji. Kult sprawnej organizacji pracy. Tak, żeby żona w domu z obiadem nie czekała i żeby można było ciekawy program telewizyjny obejrzeć. Żaden to przecież wstyd. Nie tak jak dawnie.

Gdzieśże się podziały owe dawne a tak przecież jeszcze niedawne czasy? Czas, kiedy w Komitecie Powiatowych panował styl pracy „do północy”, kiedy koniecznie trzeba było nie mieć na nic czasu, a im kto bardziej był nie ogolony — tym lepiej dla sprawy się starał. Gdzieś jesteście czasy, w których KP pełen był ludzi wiecznie zmęczonych, sennych, grubo klnących, jeżdżących nocami gazikiem po wsiach zabitych deskami, aby nawracać chłopów na spółdzielczość?

Niedostrzegalnie, powoli ale stale, dokonuje się „na szczeblu powiatu” ciekawy proces zmian. Zmian w stylu pracy partyjnej. Zmian personalnych. Zmian w poglądach na rolę partii w życiu społecznym i gospodarczym.

Coraz rzadziej spotkać można w Komitecie Powiatowych typ działacza — plomienego mówcy przyrównującego wszystkie zjawiska do „frontu bitwy o...”, zwłaszcza dla którego — jak to mówiono niegdyś — „nie ma rzeczy niemożliwych”. Coraz mniej jest działaczy — omnibusów, którzy na wszystkim się znają, mogą zabierać głos na każdy temat i w każdej dziedzinie podejmować rozstrzygające raz na zawsze decyzje.

Niedostrzegalnie, ale stale przesuwają się też granice wieku sekretarza. Coraz więcej jest wśród sekretarzy powiatowych ludzi stosunkowo młodych wiekiem. Według danych Wydziału Organizacyjnego KW przeciwna statystyczna znajduje się „około trzydziestki”.

To znaczy, że na stanowiska sekretarzy powiatowych przyszli ludzie, którzy nie pamiętają w ogóle tzw. czasów przedwojennych, a wojnę widzieli oczyma dziecka. Ludzie wykształceni i wychowani w warunkach władzy ludowej. Tacy, którzy wchodzili w świadome, samodzielne życie w tym czasie, kiedy ostateczną instancją wszystkich działań i zamierzeń był plan i ekonomiczny rachunek.

Nowa kadra partyjna, młodzi sekretarze KP ta, przeważnie ludzie myślący konkretnie. Rzeczowi. Przede wszystkim — organizatorzy. Wzorzeć plomienego trybuna ludowego, jak równieź późniejszy dzieła genialnego improwizatora-dyletanta przechodził do historii. Co zresztą nie oznacza rezygnacji z tzw. pryncypiów ideowych. Ale jeśli na II plenarnych posiedzeń KP — 9 poświęconych jest sprawom gospodarczym — ma to swoje praktyczne znaczenie.

I sekretarz KP z Sieradza uznaje wyższość gospodarki uspołecznionej, ale nie

„namawia” chłopów ze swego — jak to się mówi — typowo rolniczego powiatu, żeby zakładali spółdzielnie. Organizuje natomiast masowe szkolenie rolnicze. Z 16 tysięcy gospodarstw w powiecie, 13 tysięcy ich właścicieli, uczestniczy w szkoleniu i posiada książeczki tzw. agronimium.

Młody działacz partyjny, ekonomista z wykształcenia — nie uznaje propagandy politycznej uprawianej jako sztuka dla sztuki, propagandy „w ogóle”. Komitet Powiatowy, którym od 3 lat kieruje wystrząpił np. ostatnio z inicjatywą zbliżenia powiatowych instancji i władz do wsi za pośrednictwem gromadzkich organizacji partyjnych. Kiedy po raz pierwszy usłyszał o tym — wyobraziłem sobie płynącą rzekę powielaczowych konspektów przez mówień i referatów wśród bezkresnych pól zebrań i stereotypowych rezolucji. Tak to przecież niegdyś — wcale nie tak dawno temu — bywało.

A teraz nie takiego. Broń panie bezwyznaniowy boże. Są tylko — wieczory pytań i odpowiedzi. Pytania napływają jeszcze przed terminem „wieczoru” personalnie, od samych zainteresowanych czyli potencjalnych uczestników. Są anonimowe. Komitet rozdziela pytania wg kompetencji. Zagadnienia prawne — prokurator. Zagadnienia z dziedziny funkcjonowania administracji — przewodniczący powiatowej rady. „Kryminalki” — komendant powiatowy MO. Gospodarka, ekonomia — I sekretarz. Hodowla i uprawa — sekretarz rolny. Wszystkie pytania są szczerze, przeważnie na osobistych doświadczeniach i przypadkach oparte. Czasem „podchwytliwe”. Czasem naiwne. „Ale nawet na takie, byle być, sloganowo, odpowiedzieć nie można. — Chłopi domagają się konkretnych: cyfr, dokumentów, cytatów, statystyk — powiada tow. Woskowski — we wsi Strzałki to nam przyszłi na salę z rocznikiem statystycznym i wszystko według niego sprawdzali.”

Odnoszący sobie niektóre z pytań. Najwięcej o nawozy. Dlaczego brak. Dużo pytań na temat kontraktacji. Ale potębarwna mozaika: „Dlaczego u nas nie jest tak jak w krajach zachodnich, że pracownicy rolni mają własne taksówki i motocykle, a u nas o ile mają to w minimalnych ilościach, przecież Polacy we Francji, Belgii, Niemczech, deportowani na przymusowe roboty, przyjeżdżają własnymi taksówkami, a te państwa były też pod panowaniem hitlerzyskim?” — „Czy nie wolno ani trochę wódkę wypić przed wyjazdem w drogę, bo MO zaraz złapie?” „Dlaczego u suwanie ciężarów w szpitalu trwa cały tydzień i jest strasznie bolesne i w ogóle, a prywatnie trwa około 1 godz. i bez bólu i można z powodzeniem parę kilometrów przejść piechotą do domu?”

Na połowę z tych pytań działacz partyjny dawnego typu machnąłby ręką, że głupie. Albo, że wrogie. A ci tutaj — inaczej. Kiedy przepisuje sobie ostatnie pytanie, komentują: „Czy widzieli jak zmienia się obyczajowość na wsi?” I zapewniają, że żadne, nawet najbardziej podchwytliwe

pytanie nie pozostało bez fachowej odpowiedzi. Skutek? Coraz mniej podchwytliwych pytań.

Jest jeszcze inny skutek. Ten który leżał już w samej idei organizowania „wieczorów”. Zwykli ludzie, zwykli zjadacze i producenci chleba nie kojarzą sobie na ogół socjalizmu z idea. Nie kojarzą sobie nawet z tzw. wielkimi budowlami socjalizmu czy z przedsięwzięciami ekonomicznymi w skali krajowej. Dla nich socjalizm jest taki — jaka jest miejscowa władza. I sekretarz KP czy przewodniczący Prezydium Powiatowej Rady. Personifikowanie idei, czy — skromniej mówiąc — polityki, jest o wiele powszechniejszym zjawiskiem na „szczeblu powiatu” niż mogłoby się to wydawać uczestnikom życia politycznego w wielkich miastach. Dlatego z dużą ulgą w czasie moich wyjazdów po miastach i miasteczkach powiatowych stwierdzam, że ostatnio coraz trudniej spotkać sekretarza KP bez czystej, pięknie wykrochmalonej koszuli pod skrętnie wygolonym podbródkiem. Ze żartuję? Oczywiście. Ale nie tylko.

Najpierw chodziło tylko o utworzenie organów władzy. Potem o tej władzy utrzymanie. Werbowało się na stanowiska działaczy powiatowych ludzi w dialogu:

— Nie dam chyba rady, towarzyszu...
— Nie dasz? Głupstwa pleciesz. Ze skłopotami dawales sobie radę, a z tym miałbyś nawalić?

Później powstało określenie „nasz człowiek”. Nasz człowiek — musiał robić wszystko. W braku wykształconej, kierowniczej kadry — można było nie umieć, wystarczyło samo szczere, wewnętrzne zaangażowanie po stronie przemiana.

Dawnym sekretarzom KP mówiono, kierując ich na te funkcje:

— Nauczysz się, brachu, na błędach!...

A teraz mówi się:

— Nauczysz się, brachu, na WSNS.

Przychodzi coraz częściej na stanowiska sekretarzy Powiatowych Komitetów partii — ludzie z dyplomami inżynierów, magistrów czy techników. Rozglądają się wokół, patrzą wstecz, grzebią w archiwach, szukają dokumentów, które dalyby im idealny wzór działania. I nie znajdują. Bo wzory, które można tam spotkać są wzorami na sytuacje z przeszłości. Wzory na teraźniejszość można tylko w teraźniejszości utożwiać.

Szukają obiektywnych kryteriów oceny. I też nie znajdują. Przyzwyczajeni są, że elementy technicznych konstrukcji dają się ściśle określić i ocenić: taka a taka wytrzymałość na zginięcie, siła wiatru, erozja... Tymczasem z elementami konstrukcji społecznych — inna sprawa. Elementy z pogranicza socjologii i psychologii nie dają się ująć w ściśle tabelę, zbiorowość ludzka kierować się czasem może zgola irracjonalnymi odruchami.

Więc nowi młodzi, wykształceni działacze partyjni — trapią się. Nie wszystko rozumieją od razu. Nie wszystko rozstrzygają słusznie — we wcale nie mniejszym stopniu niż ich nie ogoleni, twardzi poprzednicy z twardych lat, w których absolutyzowało się wartości „poświęcenia w naszej robotce” — jak wówczas mówiono.

Sekretarz KP w Świdnicy, tow. Górecki inżynier z zawodu, mówił mi: „Najbardziej ciąży na mnie i chyba na całej młodej kadrze partyjnej — niewymierność naszych zadań. Pojęciem niewymierności kwituje się wszystko, nie wnikając że za nią kryje się sytuacja psychiczna człowieka, który może być w każdej chwili zarówno pozytywnie jak negatywnie oceniony, w zależności od tego, z której strony niewymierność patrzy ocenianemu.”

Trapią się więc nowi sekretarze z dyplomami inżynierów i magistrów. I męczą czasami. Małomiasteczkowe partycypacje też ich męczą. Ta niemożność uprawiania życia towarzyskiego poza biegiem „aktywu w nomenklaturze KP”! Bo nigdy nie wiadomo: Co płuca na to powie?

Tow. Woskowski założył sobie specjalną tezkę. Na nowiny. Plotki. I donosy. Jeszcze głupstwo jeśli anonim mówi, że „sekretarz odprowadzał o 2 w nocy miejscową lekarzkę do domu, więc...” — gorzej, gdy daje do zrozumienia, że sekretarz uwikłał się w jeden z typowych małomiasteczkowych konfliktów: męczas kontra lekarz czy odwrotnie.

Tow. Woskowski, I sekretarz KP z Sieradza, tak jak inni z „młodej kadry”, szukając porządkującego klucza do swojej politycznej roboty, ciągle potykać się musi o specyficzne obyczajowa małego miasteczka. Zupełnie izolować się od niego nie może, ale gdy ma nieco wolnego czasu jedzie z żoną do „prawdziwego” teatru w Łodzi, albo siada do brydza.

Bo brydz, uważany niegdyś za „burżuazyjną rozrywkę” coraz szerzej przyjmuje się wśród pracowników aparatu partyjnego w Powiatowych Komiteciech. W Sieradzu, i nie tylko w Sieradzu.

STEFAN KOZICKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Czy oni musieli przejść?

„przygotowanie ogólne dostateczne, zainteresowań i uzdolnień żadnych nie stwierdzono”, niech lepiej wychowawca w rozsądnie i z taktem przeprowadzonej rozmowie przekona ucznia, że wyższa uczelnia nie jest miejscem dla niego odpowiednim. Można się spierać, na ile wiążąca dla wyższej uczelni powinna być decyzja szkolnej komisji rekrutacyjnej. Na pewno nie musi być to decyzja ostateczna, uniemożliwiająca przystąpienie do egzaminu wstępnego. To

zresztą kwestia do rozstrzygnięcia w praktyce. Najważniejsze, by biurokratyzowane, przeżyte już metody oceny zastąpić właściwymi, z

Motywy, którymi kierowały się szkolne komisje rekrutacyjne, typując maturzystów na Wydział Mechaniczny Politechniki Łódzkiej (sporządzono na podstawie autentycznych tekstów opinii szkolnych).

- * Przeciętnie zdolny, nie przejawia zdolności do matematyki.
- * Przygotowanie zawodowe dostateczne, uzdolnienia mierne, kierunek studiów obrany właściwie.
- * W czasie pobytu w szkole średniej nie nastroił kłopotów.
- * Sprawy mu trudno przedmioty humanistyczne.
- * Przygotowanie dostateczne, stać go na lepsze wyniki w nauce.
- * Przygotowanie ogólne bardzo słabe, duże braki w zakresie matematyki; wybór właściwy ze względu na pracowitość ucznia.

pożytkiem dla samej młodzieży i dla sprawy właściwego doboru kandydatów na studia.

- * Ambitny i wytrwały w dążeniu do celu, prawie gwarantuje ukończenie studiów na dobrym poziomie.
- * Pracowita, regularnie uczęszczała do szkoły.
- * Wybrany kierunek studiów komisja uważa za właściwy z racji tej, że kandydat mieszka w okolicy Bełchatowa i pragnie kiedyś pracować w przyszłym zagłębiu paliwowo-energetycznym.
- * Pracowity, pogodny w pracy obowiązkowej (?).
- * Pod względem moralnym nie budzi żadnych zastrzeżeń.
- * W związku z tym, że w ostatnim roku szkolnym pracował w kółku fizycznym, komisja uważa wybór kierunku studiów za zgodny z zainteresowaniami.
- * Należycie wykonywał obowiązki ucznia i młodego obywatela.
- * Umie pracować kolektywnie.
- * Był przeciętnym uczniem, technikum ukończył dzięki dużej pracowitości. Posiada sporo doświadczenia w naprawie samochodów i motocykli. Dobre wyniki w tej pracy nastroiły mu dużo klientów. Wybór kierunku studiów właściwy ze względu na konieczność pobudowania praktyki teorii.
- * Ogólny wynik dostateczny, lubi majsterkować, naprawiać różne urządzenia.

JULIAN BRYZ

EX-MIASTO RUDA

Czerń, Słotna, styczniowa. Pod nogami rozmokły śnieg. Ostre kropki kłują twarz, oczy. Jedyne — światło latarni przy odwachu, ciemność, wydłużone w kałużach. Bryły ścian w głębi nieco, bo wtedy skrzydła pałacu biskupiego nie były jeszcze tak wysunięte, a za kamieniczką był sad, róg skrzyżowania zachodził łukiem, wyłożonym kamieniami. Ale kasztany szumiały jak teraz, rozhuśtane gołymi kozarami. Wtedy — dzwony, niesamowite, na alarm, wstrząsające pozorną pustką placów, i błysk strzału. Krzyki i znów strzały, salwa, inne krzyki, jęki, salwa i wybuchająca, wystrzelona do góry rakietą, z syczeniem wznosząca się i eksplodująca rojem komet, pocisków rozświetlających na krótko domy, drzewa i ziemię, błądząc twarzą i kałuże zabarwione krwią na czarno...

Czytam o tym. O tym, co się stało w styczniu tysiąc osiemset sześćdziesiątego trzeciego. Czytam w czerwcu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego czwartego. O nocy styczniowej w dniu czerwcowym, plawiącym się w słonecznym żarze, jak węgiel wyjęty z pieca. Ale jeśli czasy są różne, odległe od siebie, to miejsce — to samo. Bo to, o czym mówią dokumenty, stało się właśnie tu, o kilkanaście kroków od czytelnik Towarzystwa Naukowego Plockiego, w której siedzę.

Nazajutrz „niebo wy pogodziło się, na błocie były widoczne ślady, jedne w stronę rogatki dobrzańskich, inne w stronę kościoła. Znaczyły się ślady nóg, ślady ciągniętych ciał, kałuże krwi i porzuciona broń”. A ten, który dowodził atakiem na odwach, „niezłoty Zegrzda, raniony w nocy kulą, został wyszukany po śladach krwi, którą obficie broczył (mieszkał w rezydencji kanonika Rejchla, tam gdzie obecnie dom Towarzystwa Naukowego, na piętrze od ulicy), i w chwili, gdy go chciano aresztować, wystrząsał z rewolweru, odebrał sobie życie”.

A więc tak, i to niespodziewane odkrycie: jestem w domu, w którym tragicznie zmarł stryjeczny dziadek mojej matki. W domu! Na tym samym piętrze. Wstaje, podchodzi do otwartych drzwi balkonu, za którymi ogród plawi się w słonecznym żarze. Idę dalej, szukam okna na ulicę, wpadłem do zaplecza bibliotecznego, ale i tam okna na ogród. Zgorszona moim nietaktem pracownica biblioteki tłumaczy: to oficyna. Dopiero dyrektor Stanisław Kostanecki bierze wiazkę kluczy i prowadzi mnie na górę. Idę po schodach, po których chadzał adwokat plocki, Wojciech Zegrzda, wychodząc na miasto, do Trybunału, wracając do domu. Drewniane schody, ciasne nieco i zaraz drzwi, bez uprzedzenia i już — mieszkanie. Jego mieszkanie. „Zegrzda — mówi dyrektor Kostanecki — wyrzucił pierwszy, zabijając wartownika przy odwachu. W domu miał skład broni — kosa, fuzję pewnie, nie wykorzystane tamtej nocy, bo większość nie stawiała się — już aresztowana lub wystraszona. W księgach parafialnych znaleziono akt zgonu, pokazuje go zaraz panu...” I to nowe odkrycie: akt zgonu, z którego wynika, że Wojciech Zegrzda pochodził z Rudy, powiatu wieluńskiego. I stąd Ruda!

Węc jedziemy do Rudy.

Start z Łodzi, o dziewiątej rano. Przejeżdżamy się już przez miasto, jego brzydkie i upiększone ulice. Jedziemy tworząc własny system i jakiś młodzieniec w okularach, z plecakiem pod ręką książeczkę autostopu. Ale nie zatrzymaliśmy się i jedziemy. Siedzę obok kierowcy, pana Józefa. Młodzieniec przypominał mi moje pleśne wędrowki. Pięć kilometrów na godzinę, kiedy ruch otępla, kiedy droga pod nogami zlewa się w szary pas. To nieprawda, że wędrujący pieszo ma kontakt z przyrodą — nie wolno mu się zatrzymać, bo to obozowidnia, musi iść zamieniając się w mięśnie, okryty potem i kurzem, oszołomiony. Pamiętam też podróz kołmi. Smutek mijanych okolic, muchy posuwające się razem za poladem, woń skóry końskiej, grudki gliny podrzucane kopytem, biała warstwa kurzu. Ale jedziemy i uświadamiamy sobie lekkość tego startu, sterylność prawie, nierzanie się w czystej przestrzeni.

Pan Józef jednak wątpli w pierwotność naszej kultury. Widział wykopaliska i przecież w sposób prymitywny, łopata nie dałoby się tak głęboko ukryć pod ziemią groby czy skarby. To, że grunt się nawarstwia z czasem, jest dla niego małym odkryciem. Jedziemy więc, wciąż, do skutku, rozprawiając o tajemnicach czasu. Historia! Piękna ziemia. Prześtrzenność równiny. Zieleń i błękit, tożsame powłoką powietrza. Mijamy osiedla, zadrzewione drogi, brzeziny piękne i sosny też piękne. Tu mieszkają drzewa jak dostojnicy w pałacu. Procesja drzew sięgających nieba. Pełne świadomości swojej przewagi, znaczenia. To one są prawdziwymi mieszkańcami ziemi. Ludzie rozhisteryzowani, niepewni swego losu, podobni są do mrówek na ich korze.

Bliżej przykład — właśnie nasz cel: Wieluń. Kiedyś stolica ziemi wieluńskiej. Albo i Ruda — też kiedyś stolica, miasto warowne, a teraz — wieś. Pan Józef był zakochany: stolica, a teraz wieś! I zatrzymał ostrzegając grupkę dzieci. Węc je-

chaliśmy lekko, jakby unosząc się nad ziemią, a niegdys te piękne pola zalewały zgrzytem żelaza tłumy rycerzy, które siały śmierć, pozostawiając po sobie zgłiszczoną, wisielców dyndających na drzewach, stada ptaków krążących nad padliną. Albo morowe powietrze, które spalało ludzi od wewnątrz, też pustosząc osiedla, gdzie domy stały otworem, a żaden morderca nie odważył się wejść do nich. Jechaliśmy po tej ziemi tyle razy palonej, wypalanej do korzeni drzew, a wciąż płodnej i pięknej. Mimo, że i za naszej pamięci to również się zdarzyło.

I oto po drodze pokazowy przykład — wieluńska biblioteka publiczna. W lutym dopiero przeniesiona do nowego gmachu. Przed nim grupa ludzi, widać, że nie robotników — pracują planując klomby, gazoniki, dróżki, kierownik biblioteki, wysoki, w białej koszuli z podwiniętymi rę-

ciągnięta nieproporcjonalnie, przeciężona dobudowanymi symetrycznie oficynami — raczej brzydka, pomalowana na kolor zupy pomidorowej, zabelonej śmietaną. Ale wchodzi z myślą: tu się urodził Wojciech Zegrzda.

Wnętrze, oczywiście, przypominające powiatowy urząd. Zresztą — biuro. Księga rachunkowa, teczki, segregatory, maszyny



TADEUSZ NOWAK

Widzenie sadu

A sad przesyty strzałą
jabłkami pachnie nadal
Bóg w sadzie rzekł archanioł
i w sadzie pociemniało
od psalmu i od złota

A sad przesyty strzałą
jabłkami pachnie nadal
Śmierć w sadzie szepnął Adam
i w sadzie pojaśniało
od kości i od moczu

I widział sąd archanioł
Do jego złotych pleców
przyszyty strzałą
uciekł przed tym bogiem
złamany skrzydłem upadając
na nieśmiertelność porantoną
i na śmiertelne sadu ciało

Takoż widział sąd Adam
W jego koronie
przesyty strzałą
z jabłkiem w przeliku
kamieniem spadł
w śmierć nieśmiertelną
przez złotą sieć gałęzi
w śmiertelne sadu ciało

Wesele

Do widnokregu zbliża się słońce
do widnokregu zbliża się mrówka
Mrówka jest szybsza Wchodzi na słońce
Jest większa od słońca
Jej cień pada na zboża ścięte kosą
Spi snopek na snopku chłop
obok chłopca spi wół
U jego złotych nozdrzy
pulsuje rzeka
sen

A koguty koguty
śpiewają o jutrzni
Pazurami rozgryzają słońce
ze słońca wydziobują mrówkę
Chłop zrywa się ze snopka
ze snu zrywa się snopek
Pierwszy idzie do księdza
drugi idzie do młyna
Pierwszy przez mirt prowadzi żonę
drugi na plecach niesie kołacz

Budzi się wół
na złotych nozdrzach trąbi
W białej polce od rdzenia
rozkręca się jabłko
Wesele wesele

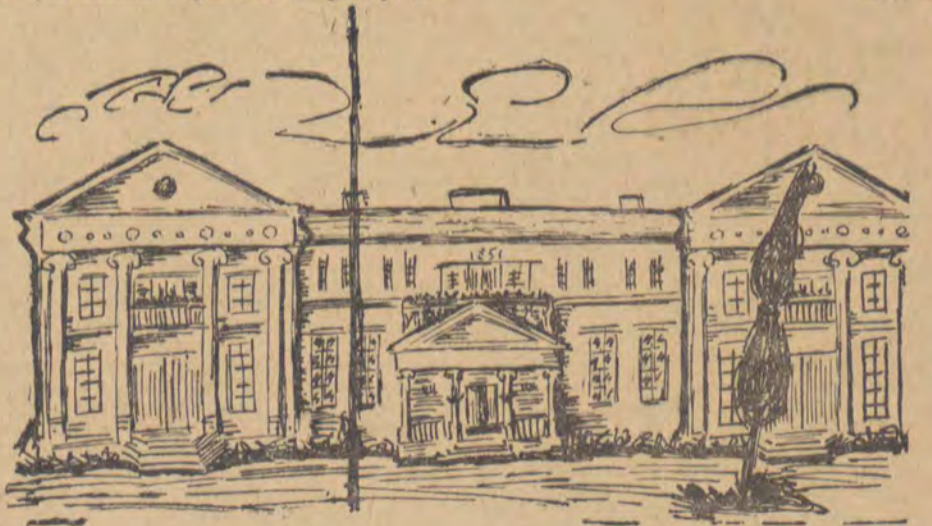
kawami, stał przyglądając się temu porządkowaniu. Obrazek jak na oleodrukach albo kompozycjach w duchu Nikifora. Zaś przed dwudziestu pięciu laty cały ten planowany plac, w ogóle cała ta przestrzeń była zbombardowana, zrównana z ziemią. Tu, w centrum miasta, we wrześniu trzydziestego dziewiątego powstała kamienna pustynia; rumowisko, w rodzaju miejsca do wyrzucania gruzów i śmieci. Teraz wszystko zostało na nowo wybudowane, więcej niż odbudowane, bo powstał ten nowoczesny gmach, który przy okazji pobieżnie obejrzałem.

Pełne słońca salki, świetlice — dla dorosłych, dla dzieci, przestrzenie magazynowe. Przypominają laboratoria doświadczalne połączone z pomarańczarnią.

Nareszcie Ruda. Mijamy kościółek za murem na wzniesieniu, szukając drogi „do majątku”.

Szydlik PGR czerwony, zakręci i — placik przed dworkiem. Porządek, a właściwie ganek z kolumnkami, do których doceplono uchwyty na świąteczne porce. Całość pałacyku piętrowego roz-

na. Przy oknie — kierownik. Pod wypukłym czołem drobne rysy. Twarz pozornie młoda, ale w oczach nastój lat z ciemnym osadem i punkelkami jakiejś ta-



Rys. Autor

ALKOHOL i LITERATURA



Fot. A. Idziński

W marcu tego roku zmarł w Dublinie Brendan Behan, autor słynnego w Europie dramatu „Zakładnik”, nadzieja literatury irlandzkiej, członek nielegalnej Armii Republikańskiej, wielki pijak i zwadziak. Pozostawił po sobie powieści i melodramat, wiele pomysłów i legendę o własnym życiu — barwnym i niezwykłym. W grudniu roku ubiegłego, kiedy urodziła się Brendanowi Behanowi pierwsza i jedyna córka, złożył on następujące ślubowanie: „Od dnia jej chrztu nie wezmę do ust ani kropli alkoholu”. Nie dotrzymał słowa. Nie był w ogóle na uroczystości chrztu. Spokawczy w tym samym dniu kolegę „po kieliszku”, poszedł z nim na wielkie plażowanie i wrócił dopiero po paru dniach do domu. Walczył z nałogiem, ale nie mógł go opanować. Powiedział kiedyś: „Jedyny mechanizm, jaki w ogóle rozumiem, to mechanizm korkociągu”. Na pogrzeb Behana zeszli się kelnerzy i barmani, pijacy i niebieskie ptaki, więźniowie i żołnierze nielegalnej armii wyzwolenczej.

W tym roku (we wrześniu) minęła 70-ta rocznica urodzin Józefa Rotha, pisarza który zmarł na wygnaniu na krótko przed wybuchem drugiej wojny światowej, autora „Marsza Radetzky'ego” i powieści o Łodzi pt. „Hotel Savoy”. O Roth'cie mówiono i pisano, że był to jeden z największych alkoholików swojej epoki. Potwierdził to on sam, pisząc na parę lat przed śmiercią opowiadanie „Legenda o świętym pijaku”, które było w jakiejś mierze o nim samym. Bohater utworu Rotha, Andreas, umiera, a on, autor, zamyka opowiadanie następującymi słowami: „Daj Boże nam wszystkim, nam pijakom, tak lekką i tak piękną śmierć jak jemu”.

Józef Roth zmarł nie dożywszy pięćdziesiątki, Brendan Behan — przekroczył zaledwie czterdziestkę. Z pewnością gdyby nie alkohol, żyłoby obaj znacznie dłużej i znacznie więcej by napisali, chociaż dorobek Rotha jest i tak duży i wartościowy.

Dzisiaj wiemy już, że Faulkner zmarł w zakładzie dla alkoholików. Wciążby dziennikarze donieśli o tym w parę miesięcy po jego pogrzebie, kiedy oswojono się ze stratą tego znakomitego pisarza i kiedy uznano, że nikogo fakt ten już nie zgorzy.

Wielu ludzi (wśród nich wielu czytelników) uważa, że alkohol sprzyja twórczości, że pobudza wyobraźnię, że wpływa na bogactwo skojarzeń. Mówiąc to, powołują się chętnie na Jacka Londona, na Er-

prze wszystkim przeciwko niemu samemu. Im więcej pił, tym gorzej pisał. Któż sięga dziś po jego powieści i dramaty? Utonęły one w niepamięci i nikt i nie ich już nie wskrzesi do życia. Wielki talent instynktownie broni się przed alkoholizmem w tym sensie, że w chwilach intensywnego pisania — nie pije, bądź stara się alkoholu nie nadużywać. Twórczości nie uprawia się z dnia na dzień. Są okresy wielkiej pracy i są okresy pauzowania. Można by powiedzieć tak: Przybyszewski był alkoholikiem na co dzień i dlatego przegrał. Nie był przy tym talentem wybitnym. Faulkner był alkoholikiem od święta, a talent przy tym ogromny. Talent obronił go przed upadkiem. Trzeba tu jeszcze dodać, że niektórzy pisarze sami tworzą wokół siebie legendy i cieszą się, gdy legendy te podtrzymują i rozszerzają reporterzy i dziennikarze. Hemingway chętnie pisał o tym, jak pito za czasów jego młodości w Paryżu i nie miał nic przeciwko temu, gdy autorzy wiadomości i rozciągali je na jego lata późniejsze. Pisma amerykańskie pisały po jego śmierci, że miał swoje własne przepisy na przeróżne nalewki, a fotografowie z upodobaniem pokazywali zdjęcia jego pokoju z baterią butelek po alkoholu.



nesta Hemingwaya, na Stanisława Przybyszewskiego, na wielu innych polskich i obcych pisarzy.

Emil Zola napisał kiedyś, że „dziennikarstwo jest cmentarzem talentów”. Proponuję zmodyfikować jego powiedzenie i napisać tak: alkohol jest cmentarzem talentów. Bardzo wielu uzdolnionych poetów i prozaików zaprzęsało swój talent (i swoje zdrowie) w oparciu alkoholu. Nie ulega dla nich kwestia, że właśnie kapłan ska teoria Stanisława Przybyszewskiego o dobroczynnym wpływie picia obróciła się

pod auspicjami towarzystwa do walki z alkoholizmem. Nie chciałbym przeprowadzać nazbyt łatwych ocen i analiz w przypadkach, które są trudne i skomplikowane. Interesuje mnie fenomen twórczości alkoholika, podbudki, które go wiodą, że sięga on do kieliszka, jakże często przebiegając wszelką miarę. Mam znajomego, który twierdzi, że alkohol u twórcy jest potrzebą psychiczną, podczas gdy u nałogowca jest to potrzeba fizyczna. Co nie wyklucza, rzecz jasna, że i wśród twórców mogą być nałogowcy, co stawia ich w rzędzie ludzi, dotkniętych tą ciężką chorobą.

Niedawno ukazała się w Londynie książka znanego pisarza Johna Gardnera pt. „Obracać butelkę”. Jak sam autor zaznacza w podtytułach, jest to „autobiografia pijaka”. John Gardner walczył przez wiele lat z alkoholizmem wła-



nym, w czym pomagali mu dzielnie żona, przyjaciele i lekarze. Niestety — bez większego skutku. W wydanej obecnie autobiografii, która zaleca się zdumiewająco szczerością, John Gardner dochodzi do wniosku, że walkę przegrał. John Gardner pisze: „Nałogowy alkoholik nigdy nie może być uleczony to znaczy nigdy nie zabije w sobie chęci picia wódki”. To tragiczne wyznanie, poczynione przez autora u schyłku jego życia, ma wymowę wręcz wstrząsającą. John Gardner nie osiągnął w swej twórczości najwyższego wymiaru, choć jest to bez wątpienia talent nie byle jaki. On sam tego nam nie powie, ale możemy przecież przypuścić, że w niezrealizowaniu wszystkich jego możliwości twórczych przeszkodził mu alkoholizm.

Zgódźmy się więc z tym, że alkoholizm niszczy talenty nawet wybitne, a małe — zabija. Ale ktoś z pisarzy przyzna się do tego, że rozporządza małym talentem. Każdy pisarz jak każdy żołnierz nosi w tornistrze buławę marszałka. Oczywiście marszałka literatury.

Jankoprowski

ZDZISŁAW SIERPIŃSKI

Spotkaliśmy się z tą muzyką po raz ósmy. I trzeba przyznać, że nauczyliśmy się jej słuchać: przez te lata wrastaliśmy powoli w rozumienie tej magmy dźwięków obcych, brzmieńcych dziwnie dla ucha przyzwyczajonego do muzyki Bacha, Beethovena, Debussy'ego, Prokofiewa i Bartoka. Więcej: nauczyliśmy się chyba rozróżniać, gdzie leży granica prawdziwej sztuki, a gdzie się zaczyna mistyfikacja.

Po raz pierwszy również chyba w tym roku temat ten może stać się przedmiotem rozważań prasowych znacznie szerszych, obszerniej potraktowanych — niż to było w latach ubiegłych. Telewizja pokazała kilka programów, sprowadziła przed kamery nie tylko to co działo się na salach koncertowych ale również zaprasza do studia wykonawców i kompozytorów, muzykologów i krytyków aby przedstawili trudne sprawy nowej i najnowszej muzyki. Parę milionów ludzi (odliczając oczywiście tych, którzy natychmiast wylaczali aparaty) starało się zrozumieć to, co do nich przemawiało z estrady i to, co mówiłi sami twórcy. Nie chcę poruszać tej sprawy; o ile słuszny był dobór utworów prezentowanych na małym ekranie i ludzi zapraszanych do studia. To już zupełnie inny temat i może na inną okazję...

Interesują nas inne sprawy: czym jest naprawdę ta muzyka, czy jest ona przeznaczona tylko dla małej grupy smakoszy i „cmokierów” czy ma szansę zainteresowania szerszego grona słuchaczy?

Zacznijmy od festiwalowych pozytywów: przez ostatnie dziewięć lat Warszawa stała się jednym z nielicznych punktów na świecie, gdzie odbywają się doroczne imprezy, przed stawiające najnowsze zdobycze najnowszej twórczości kompozytorskiej. Jednocześnie festiwal ten stał się wielką trybuną dyskusyjną pomiędzy Wschodem i Zachodem — takie było założenie pierwszego festiwalu w roku 1956 i tak pozostało do dzisiaj. Ta dyskusja odbywa się nie tylko na estradzie — również w kulursch, na spotkaniach kompozytorów, krytyków, organizatorów życia muzycznego z poszczególnych krajów... „Warszawska Jesień” jest imprezą pomyślaną bardzo ambitnie: nie stara się — jak większość festiwali na świecie — sprowadzić muzyki do problemów wykonawczych, popisów orkiestr i solistów — ale w sposób pro-

blemowy ukazywać najnowsze dzieła powstałe — w zasadzie — w przeciągu ostatniego roku.

Praktyka wykazała, że ta zasada nie zawsze jest słuszna: dwanaście miesięcy to za mało aby można było do bogatego programu dziesięć dni trwającego festiwalu, znaleźć od powiednią ilość pozycji wartościowych i naprawdę obrazujących to, co się w nowej muzyce dzieje. Stąd też, niestety, zbyt często jesteśmy świadkami prezentowania kakofonii dźwięków przypadkowych, zestawionych bez smaku artystycznego, bez jakiegokolwiek założeń estetycznych — byle tylko zaszokować słuchacza dźwiękami nie mającymi ze sztuką wiele wspólnego. Zasady nowej

istnienia społecznie zaakceptowanych kryteriów. O tej muzyce trudno mówić: jest dobra, albo jest zła. Oceny mogą leżeć w kategoriach: to mi się podoba a to mi nie odpowiada. Ale na pewno można stwierdzić, bez obawy popelnienia błędu, co jest w tej „sztuce” zwykłą mistyfikacją obliczoną na efekt i snobizm „cmokierów” współczesności, moderną za wszelką cenę, uduchowioną, bełkotliwą, zaprzeczającą elementarnemu poczuciu smaku. A co prawdziwą muzyką, z oryginalnym wykorzystaniem nowych środków brzmieniowych, z jasną przejrzystą konstrukcją, z solidnym warształem kompozytorskim... Nie sposób przeprowadzić analizy utworów wykonywanych na tegoro-

WARSZAWSKA JESIEŃ

muzyki, która wyzwolona z pętającego swobodę ruchów, systemu dźwięków, szukania nowych barw brzmieniowych, nowych środków wyrazu przy nowym, zasadniczo odbiegającym od tradycyjnego, sposobu wykorzystania instrumentów — często prowadzi kompozytorów na manowce udziwniania na siłę. Kiedy jesteśmy świadkami, jak w „Antic Meet” Johna Cage jeden z muzyków dnem butelki skrobie po powierzchni lustra dla wydobycia wierzących ucho pisków; kiedy ten sam kompozytor w swoich „Warłaczach” każe panu Tudorowi zakładać na szyję metalową opaskę, która dzięki połączeniu do aparatury wzmacniającej pozwala usłyszeć bulgot wody przepływającej przy picu przez gardło; jeżeli sytuację w pudła instrumentów i obsesyjnie powtarzanie glissandy stają się manierą powtarzającą się aż do znudzenia — u każdego słuchacza, bez względu na stopień wyrobienia muzycznego — zaczynają się budzić wątpliwości: czy to jest w ogóle muzyka, czy to jest sztuka...

Trudność w ocenie nowych zjawisk dziejących się na tego typu festiwalach polega jeszcze na braku

cznym festiwalu: nie wiem również czy interesowałyby to naszych Czytelników. Podane wyżej przykłady nonsensów pana Cage wyjaśniają w wystarczający sposób to co działo się na takich audycjach, jak koncert „Musica Viva Pragensis” czy Zespołu Instrumentalnego Muzyki Współczesnej pod dyktando Konstantego Si monowica z Paryża. Znaczenie ciekawy będzie chyba ogólny rzut oka na cały festiwal i na miejsce, jakie w nim zajęła muzyka polska.

Tegoroczna impreza nie była zbytnio udana w zestawieniu z tym co spotykaliśmy na „Warszawskich Jesieniach” lat poprzednich. Było zbyt wiele utworów nieudanych, nieciekawych, dziwacznych — i zbyt mało w tym zakacowatym cieście smakowitych rodzynek dobrej muzyki. Cieszy przede wszystkim, że najkorzystniej wypadła muzyka polska, która — jak wiadomo — już od wielu lat zajmuje w dziedzinie nowoczesności przodujące miejsce na świecie. Już sama idea rozpoczęcia całego Festiwalu od specjalnego koncertu muzyki polskiej, prezentującego najbardziej wybitnych twórców i utwory po wojennego dwudziestolecia, była ze

wszech miar słuszną i interesującą na pewno dla licznie odwiedzających festiwal gości zagranicznych. Ale to nie tylko Baciewiczówna, Lutosławski, Baird, Penderecki, Serocki, Szabelski, ale i nowe utwory Wojciecha Kilara, Bolesława Woytowicza, Michała Spisaka, Zbigniewa Rudzińskiego, Henryka Góreckiego, Konstantego Regameya i inne, stały się pozycjami zwracającymi uwagę swym wysokim poziomem, umiarkowaniem w stosowaniu nowoczesnych środków wyrazu, umiarem a jednocześnie w gąctwem kolorystyki dźwiękowej, do brą i przejrzystą konstrukcją, ciekawymi efektami itd.

Również i w innej dziedzinie mogliśmy się pochwalić wobec naszych gości poważnymi osiągnięciami: mimo, że jest to festiwal problemowy a nie wykonawczy, nie sposób było nie zauważyć wysokiego poziomu gry naszych czołowych zespołów symfonicznych i chórów Filharmonii Narodowej, Wielkiej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia i Filharmonii Krakowskiej; mistrzostwa batuty dyrygentów tej miary, co Jan Krenz, Witold Rowicki i Andrzej Markowski. I to jest na pewno również dodatkowy efekt w propagowaniu na festiwalu naszych osiągnięć w dziedzinie kultury.

Co teraz dalej? Wydaje się, że w tym roku nasiliły się bardzo głosy protestujące przeciwko takiemu budowaniu programów, jak to obserwowaliśmy na ostatniej „Jesieni”; że słuchacze, nie chcą aby eksperymentowanie różnych kompozytorów i ich czasami aż wręcz szalibierczej „sztuki” dokonywało się kosztem ich uszu; że znacznie surowsza i dokładniejsza selekcja tego co ma się znaleźć w programach następnych „Jesieni” ułowi Festiwal od „wielu nieporozumień estradowych”; że wręcz festiwalowe estrady staną się naprawdę platformą dyskusji nad prawdziwymi i realnymi granicami wielkiej sztuki, a nie miejscem, gdzie się może wyżywać nie mający nic do powiedzenia „twórcy”; że sale, wypełnione tak tłumnie publicznością, nie będą jej ścigały wabikiem snobistycznego wyżycia się, ale pewnością dostarczania muzyki, dającej jakieś przeżycie artystyczne.

Mimo wszystkie trudności, jakie stwarza nam ta muzyka, pisana w naszych dniach, mimo trudności ocy jej — nie nie stanowi przeszkody aby postawić wyraźną granicę pomiędzy prawdziwą sztuką a p-obami mistyfikacji. Wystarczy do tego po prostu zdrowy rozsądek...



Fot. E. Kudaj

ALEKSANDER GRIN

Jestem człowiekiem leniwym i żeby coś napisać muszę sam to przeżyć albo usłyszeć o jakimś prawdziwym zdarzeniu. Słowo to każdy rozumie po swojemu, a ja będę określał nim wszystko co mi się podoba. Z tego, i moim zdaniem, jednego szerszego punktu widzenia dobieży obiad — też jest zdarzeniem. Tak samo mogę nazwać spotkanie z człowiekiem ubranym od stóp do głowy w purpurę. Byłoby to czymś nowym, przyjemnym, a tym samym interesującym.

Pewnego wieczoru zatrzymałem się na skrzyżowaniu dwu słabo oświetlonych, brudnych ulic. Nie wiedziałem po co idę i dokąd. Po prostu chciałem iść.

Rachityczne drzewa bulwaru, sennie, pocerniałe, otaczały latarnie. Żółte światło okien rozpraszało ciemność, a puste chodniki przypominały zapomniane drogi. Wilgotne powietrze chłodziło po plecach. W zaułkach i pod arkadami błędziły milczące sylwetki. W oddali nad dworcem paliła się biała, elektryczna kula, samotne oko mroku, które wymyślił człowiek.

Nie nie zakłócało smutku i odrętwienia nocy. Mieszkańcy dzielnic schowali się za gnijącymi murami. Samotność wibrowała w powietrzu, jakby wibrowała była dla nich zbyt ciężka, oni cenili tylko tych, którzy mają własne łóżka. Szedłem paląc i mruczając. Było mi dobrze. Dzień — poezja infuzorii, zmierz na zachodzie o siódmej wieczor-

Intermedium

rem. Pochowałem go, a moja lekkomyślność i spacer były stypa, którą dla niego urządziłem. Noc — królewski spadek dnia, wypchana złotem pończocha sknery, który umarł z głodu — lubię ten czarny strój dżentelmena i brzydzą się jarmarczająco.

Ci, którzy mnie znają, wybaczą mi tę dygresję. Szedłem ulicą około 5 minut i znalazłem się na skrzyżowaniu. Tu nieruchomo, jakby spełniając jakiś swój obowiązek, stała kobieta. Trzymała w rękach duży, czarny przedmiot. Spojrzałem na nią i poszedłem dalej. Obejrzałem się. Kobieta wciąż stała. Zatrzymałem się, wyjąłem cygaro i powoli zapaliłem. Oparty o mur około 3 minut dymiełem jak komin.

Założyłem się sam z sobą, że nie odejdę wcześniej niż ona. Mżył deszcz, wzbuchy wiatru leciały ulicą, a ona stała cierpliwie w milczeniu. Obok ciemniała lawka; kobieta nie usiadła. Wtedy rzuciłem cygaro i podszedłem do tej dziwaczki, ubranej w bardzo zniszczoną sukienkę. Z jej brudnego kapelusza ściekała woda. Błada, stanowcza twarz i oczy pełne łęku. Zrobiła taki

ruch ręką jakby chciała mnie odepchnąć.

— Proszę pani, — powiedziałem — jak dojdę do Nowego Rynku? Jestem przyjeźdnym i nie znam jeszcze miasta.

Drżąc i jakając się mówiła:

— Na lewo... potem... prosto... potem...

— Bardzo dziękuję... Ale deszcz, co?

— Tak... Deszcz...

— Czy pani przypadkiem nie zabłądziła? — powiedziała łem tracąc cierpliwość.

Byłem przygotowany, że odpowiem nie będzie przyjemna. Miała prawo postać mi do diabła, albo poprosić żebym dał jej spokój. Ale kobieta milczała. Jej twarz zmieniła się nie do poznania, wargi drżały. Zimny, smutny strach płonął w jej oczach utkwionych we mnie z tępa pokora zwierzęcia oczekującego uderzenia.

Zrobiło mi się nieprzyjemnie. Zmieszałem się i zacząłem drzeć. Powiedziała nagle:

— Ja sprzedaję koguta.

Machinalnie, nie zwracając uwagi na tę dziwną wypowiedź spytałem:

— Koguta? A gdzie on jest?

Kobieta uniosła ręce. Rzeczywiście, miała koguta, zwiazanego, owiniętego szczelnie sznurkiem jak siatkę. Dotknąłem go i ciepło ptaka przekonało mnie. Był to prawdziwy, żywy kogut.

Zdumiony, zażenowany, gubiłem się w przypuszczeniach. Próbowałem się uśmiechnąć, nie wiedziałem co powiedzieć. Wydawało mi się, że zakpięno ze mnie. Myślałem, że śnię. Byłem gotów wybuchnąć, zakląć, albo kupić tego koguta. W pewnym momencie chciałem ją przeprosić i odejść.

Nagle zupełnie oczywiście, nie dając się zmienić prawdą o sytuacji w jakiej się znalazłem, zmusiła mnie do działania. Rola szatana wcale nie jest gorsza od innych ról. Zobaczymy. Ta kobieta sprzedaje koguta. Kupimy go drożej. I powiedziałem:

— Podobają mi się ten kogut, daję 10 rubli.

— Nie, — powiedziała przez rączną kobietę. — Jedena rubel.

— A może pani chce sto? Sto nowiutkich, ciężkich rubli. Proszę się dobrze zastanowić. Wynajmie pani czyste, przytulne mieszkanie, kupi nowe krzesła, wazon z pachnącym groszkiem, szafę, sobie nową sukienkę, a mężowi garnitur. Potem znajdzie pani pracę. Wszystko będzie gotowe, a pensję będziecie odkładać na uzupełnienie sprzętów w waszym domu. W najbliższym czasie pójdę do teatru, gdzie gra mu zyka i można zobaczyć różne śmieszne i wzruszające rzeczy.

— Nie, — krzyknęła — za żadne skarby świata. Jeden rubel.

— No, dobrze — mówiłem dalej — sądzę, że dojdziemy do porozumienia. Dam tyśiąć.

Westchnęła i zaprzeczyła ruchem głowy. O czym ona myślała? Jej wygląd budził przerażenie. Twarz ociekała potem. Opanowana przez wyobraźnię widziała tylko jedno, tajemniczą srebrną monetę. Słabła, chwiała się, ale nie przerwała tego pojedynku. Wciągnąłem się w tę grę, podbiłem cenę, sypiałem tyśiąciami.

— Dwadzieścia tyśiący.

— Nie.

— Trzydzieści.

— Nie.

— Złe pani robi, pani odrzuca szczęście. Murowany dwupiętrowy dom, obrazy, drogie kwiaty, parkiet, forte pian najlepszej marki, służba, powóz.

— Nie.

— Dam tyle ile pani zechce. Będziecie pili najdroższe wina, ziemia zamieni się w raj, najlepsze potrawy będą czekały by po nie sięgnąć, kaprys będzie pani prawem, pragnienie — rzeczywistością, słowo będzie miało swoją moc. Wulkany, wyspy tropikalne, lody koła biegunowego, średniowieczne miasta, ruiny Grecji — czy tego nie daje pieniądź? Będziecie mieli pałace, słyszycie? Pałace? Najprawdziwsze. Urządźcie je tak jak będziecie chcieli.

— Ale kobieta z uporem kręciła głową i ochryple, ciężko dysząc ze zdenerwowania powtarzała jak szalona:

— Rubel. Rubel.

— No cóż — powiedziałem starając się nadać mojemu głosowi ironiczne brzmienie, — umyję ręce. Pani koniecznie chce rubla — proszę. A koguta nie wezmę. Jest stary i oczywiście twarzą jak podeszwa. Proszę go upić i zjeść za moje zdrowie.

Wyciągnąłem z kieszeni kamizelki pięć monet po dwa dziesiątka kopiejek. Kobieta za chwila się. To co zrobiłem pozabawiło ją wszelkiego oparcia. Wygrała, ale teraz bezradnie patrzyła na mnie

— O co chodzi? — spytałem. — Proszę, oto rubel.

— O, jęknęła. — Nie tak, panie, nie tak. Srebrnego, w całości.

— Takich nie ma — powiedziałem — proszę brać to co daje. Bardzo żałuję, że nie jestem diabłem. Jestem Pik-Mik. Zrozumiano? Zegnaj. Jeżeli już wyczerpie się pani cierpliwość, proszę kupić pek starych kluczy i zacząć działać. Chyba, że pani chce uczciwie umrzeć z głodu. Przecież dla was on pieje trzy razy w nocy i ostatni raz — o świcie. Proszę pomyśleć tylko, jak słodko nad ranem śpią wszyscy ci, którzy pilnują dobytka.

Ukloniłem się i poszedłem. W domu długo nie mogłem zasnąć. Potworne koszmarny tłoczyły się wokół mojego łóżka, stukot wahała słychać było w pustych pokojach. Ożywiałem się, to znów pogrążony w ciężkim zapomnieniu leżałem nieruchomo jak gruda, a noc przekornie nie chciała przynieść mi uspokojenia.

Okno sypialni było otwarte. Ostre, nieludzki głos wyciągnął mnie z łóżka; przecierając zmęczone oczy podszedłem do okna. Mgła jak brudna bielizna owinała szare dachy; sączył się świt. Krew jesiennego słońca rozlewala się na horyzoncie, oszły chłód odświeżał płuca. I znowy krzyk przebiegłego człowieka wleciał nad miaso: to na sąsiedniej fermie ćwiczyły koguty. W ich głosach wyczuwało się ciepło kurkonia i tajemniczy, senny niepokój. Ulicą szły samotne, przygarbione postacie, przemyciły wzdłuż ścian jak myszy i znikały.

Przeglądając poranną prasę znalazłem kilka informacji o kradzieży. Moja przypadkowa nocna przyjaźniółko, czy i ty brałaś w tym udział? Jeżeli tak, to nie pomylisz się, ja w ciągu tej godziny byłem szatanem, bo przecież nikt nie ma pewności, że nie jesteśmy takimi diabełkami, my, którzy nieubłaganie tworzymy nasze lożyczne sady.

Przełożył:

R. GORZELSKI

**fraszki
jana Czarnego**

PO ŁACINIE

*In corpore sano, mens sana
— rzekła owca do barana.*

STAŁOŚĆ

*Troglodyta się nie zmienia,
choć idzie mu z kamienia.*



„Express Wieczorny Ilustrowany”, Łódź r. 1929, m-cie X—XII, numery 296, 301, 304, 306, 307.

NĘDZA MIESZKANIOWA W ŁODZI

Nieprawdopodobny jest stosunek przyrostu mieszkań do przyrostu ludności. Mieszkania jednoizbowe stanowią w Łodzi 59,7 proc. ilości mieszkań. Spis ludności w r. 1921 wykazał np., że w Łodzi istnieje blisko 10.000 mieszkań jednoizbo-

wych z gęstością zamieszkania 6 lub więcej osób na izbę... Do czego dojdziemy za kilka lat?

**Z teki humoru łódzkiego
NA ZIELONYM RYNKU**

— Na ile są te ryby?...
— Osiem złotych laskawa pani...
— Jak to? W „Expressie” czytałem, że ryby staniały...
— Możliwe, ale my tu gazet nie czytamy...

SENSACJA W WARSZAWIE...

Niezwykły zdarzył się wypadek w warszawskim ZOO. Warszawianka — własną pierśią nakarmiła trzy młode lwy... Gdy wspaniała lwica „Sylwia” została matką, a nie miała pokarmu, dr Zabiński wpadł na niezwykle oryginalny pomysł. Zatelefonował do znajomej swojej p. dr P., która przed trzema tygodniami powiła synka... Pani P. zgodziła się i panowie opuścili pokój, i stał się fakt jedyny w historii — warszawianka własną pierśią nakarmiła lwie potomstwo.

ŁÓDŹ W MONTE CARLO

Na zjazd gwiazdzysty do Monte Carlo wyjeżdża z Łodzi z ramienia Łódzkiego Automobilklubu p. Maurycy Poznański. Inne zgłoszenia nie wpłynęły.

OFICEROWIE WARSZAWSCY

składają zeznania w jakim celu przybyli do Sejmu. Strażnicy Marszałkowscy i woźni zachowywali się wobec nich brutalnie i niegrzecznie żądając opuszczenia Sejmu i dlatego oficerowie uznają się za obrażonych pragnęli otrzymać SATYSFAKCJĘ...

JAK ZWYKLE NA BAŁUTACH...

Rodzina Filipczaków od dawna słynęła na całych Bałutach z pijaństwa. Ceniono tam wódkę nade wszystko. W dzień i w nocy urządzano libacje z kradzionych pieniędzy. Wyrodził się jednak syn Antoni, który onegdaj spłatał figla swej rodzinie... wiał całą przyniesioną wódkę do garnka zupy. Stary Filipczak wtedy oświadczył — czuję gdzieś wódkę, ale jej nie widzę?... W końcu jednak synalco

został dotkliwie pobity przez „gorzałczaną” rodzinę, a sąsiedzi wezwali doń pogotowie ratunkowe...

WARTA — ŁKS 2:0 (1:0)

Katastrofalny spadek formy zespołu czerwonych. Ostatnie spotkania ligowe ŁKS kończą się zaskakującymi porażkami. Drużyna łódzka nie potrafiła zakończyć swego zestawczego tryumfalnego pochodu w kampanii ligowej. Koniec ŁKS jest nie wesoły, a zwłaszcza na dziś, na własnym boisku z Wartą... Drużyna łódzka nie może mieć żadnych do nikogo pretensji. Grała słabo, nawet b. słabo prezentując się nad wyraz ujemnie we wszystkich niemal liniach. Cała jednostka czerwonych przeżywa widoczny spadek formy. ŁKS wystąpił w składzie — Milla, Cyll, Gallecki, Pegza, Trzmiela, Jasiński, Stolenwerk, Sowiak, Tadeuszewicz, Król, Siedz...

DZIS POWIEŚĆ ŁÓDZKA...

„Niewidzialny” — Nowy Szatan Łodzi. Powieść kryminalna z życia łódzkiego. Napisał dla „Expressu” Jan Star. Biorą w niej udział

— policjant, służbista z rogu Piotrkowskiej i 6 Sierpnia, Karol Kryspin czyli „Kucyk”, „Niewidzialny” autor zbrodni, Rudolf Robotsoni — z Berlina z redakcji „Tęgieł”, opisano napady na Kamienną...

W „GRAND KINIE”

idzie dziś „Kobieta i Pajac”. To klejnot literatury francuskiej. Korona produkcji filmowej. Uroczą hiszpanką Conchita Montenegro w pozodze zmysłów. Szal tańca. Kaprysy namiętnej dziewczyny. Passe-pour nie ważne.

UPROWADZONO

moja 2-miesięczna suczka JAMNIK, czarna, podpalana z ksgami H. Świecińskiego przy ul. Przejazd nr 18. Laskawego znalazcę uprasza się o odeślanie pod tenże adres. Przywłasciciel zostanie pociągnięty do odpowiedzialności sądowej.

MAGISTRAT ŁODZI podaje

do wiadomości bezrobotnym, że samotni prawa do pomocy opalowej, prowadzonej z funduszy miejskich nie mają!

Przypomniał: ZETKO